



Fot. CAF

# DZIWIWNY KORDIAN

Na otwarcie uroczystości związanych z obchodami 200-lecia Sceny Polskiej Teatr Narodowy wystąpił z galową premierą „Kordiana” Juliusza Słowackiego. Ten znakomity Teatr pod mądrą dyrekcją Kazimierza Dejmka (skupiający plejadę świetnych aktorów) wyrobił już sobie u publiczności zasłużony kredyt. Nic dziwnego więc, że na premierę „Kordiana” czekano z niecierpliwością — zwłaszcza że rolę tytułową Dejmek powierzył tak utalentowanemu aktorowi jak Ignacy Gogolewski.

Przedstawienie, niestety, przyniosło rozczarowanie — był to dziwny „Kordian” bez ognia, bez żaru najpiękniejszej chyba romantycznej poezji polskiej. Oczywiście spektakl jest interesujący, ma kilka doskonałych pomysłów inscenizacyjnych

i całość na pewno utrzymana jest w kategoriach prawdziwego teatru — ale... Coś tu nie wyszło, jak mawiał Leon Schiller.

Główna przyczyna leży chyba w tym, że Dejmek nie czuje, nie lubi wielkiego dramatu romantycznego. Stąd chaotyczność koncepcji, stąd brak logiki w przeinaczaniu inscenizacyjnym scen pomyślanych zupełnie inaczej przez Słowackiego, stąd mnogość konwencji — także i aktorskich, stąd wreszcie przewlekłość, oschłość i — niestety — nuda. Nie o to nawet chodzi, że przedstawienie trwa cztery godziny, ale że przez cztery godziny się wlecze.

Niedobrze też się stało, że Dejmek sam zaprojektował dekoracje. Obiektywnie są nawet ładne, ale sztywność, geometryczność linii ekranów pogłę-

bia jeszcze chłód wiejący ku widowni.

Są dwie kapitalne sceny, które wybijają się z całości spektaklu: to Pieśń Nieznajomego i piękny monolog Kordiana „Nie będę z nimi...” Nie znaczy

to, oczywiście, że nie znalazłoby się w tym spektaklu więcej scen dobrych, tyle tylko, że niewiele mają one wspólnego z atmosferą „Kordiana”, nie poruszają nas, patrzymy na nie chłodno i obojętnie —

a obojętność, to przecież śmierć teatru. Rozczarowanie też przyniosła rola Kordiana w interpretacji Gogolewskiego — pamiętnego Gustawa-Konrada z „Dziadów” i ciekawego Kordiana w spekta-

klu telewizyjnym — jest intelektualnie zimny, poprawny i bezbarwny. Zawiódł go również głos — tam, gdzie wiersz ma „huczeć jak dzwon”, słyszeliśmy chrypliwy krzyk, a twarz aktora purpurowiała z wysiłku. Tu warto chyba zwrócić uwagę na problem ważny i dość szeroki — na ogół aktorzy (nawet ci dobrzy) nie bardzo dają sobie radę z wierszem i fatalnie mają ustawione głosy. Ci, którzy pamiętają Węgrzyna, Stępowskiego, Jaracza, Adwentowicza — wiedzą, że można mówić wiersz głośno i czysto, bez widocznego i tak rażącego wysiłku. (Że problem jest powszechny, wystarczy przypomnieć spektakl telewizyjny „Marii Stuart”, gdzie tacy aktorzy jak Śląska i Fetting potykali się o wiersz Słowackiego jak ślepicy Breughela).

Kazimierz Dejmek jest taką potęgą reżyserską, że krytyka (jeśli jest choć trochę słuszna) nie powinna go dotknąć. Obowiązkiem recenzenta jest możliwie pełne mówienie prawdy, a nie kadzenie. Recenzent reprezentuje nie tylko opinię własną, ale również widzów, z którymi stara się utożsamiać.

Cóż, potknięcia przytrafiają się nawet największym, a Teatr Narodowy ma wystarczająco dużo pozycji znakomitych, żeby wytrzymać ten jeden niewypał inscenizacyjny.

ST. OSTROWSKI